

## Pracownia Miedzi kierowana przez Jana Wyżykowskiego była dla mnie drugą rodziną

Jan Strzeliński<sup>1</sup>



Dwa „J” i dwa „E” czyli dwa Jany oraz Eugeniusz i Edward, innymi słowy – Pracownia Miedzi w Zakładzie Złóż Rud Metali Nieżelaznych Instytutu Geologicznego w Warszawie w latach 60. i 70. XX w.

Znaleźć się w takim zespole to był dla mnie zaszczyt. Te trzy niezwykłe osobowości i ja, jak mówił Szef – młody, zdol-

ny, dobrze zapowiadający się... to był monolit. Do tego jeden pokój, cztery biurka (każde inne), pięć krzeseł – w tym jedno gościnne, jakaś szafa, telefon, maszyna do pisania i kręciołek do liczenia... na korbkę oraz kącik socjalny z umywalką, czajnikiem na herbatę i w żaden sposób nie stanowiącym kompletem zestawem różnorodnych sztuczków, szklanek i kubków. Całość zasłaniana jakąś firanką, którą przyniosła z domu Irenka Molendzka (przecudowna koleżanka z Pracowni Cynku i Ołowiu), zawieszoną na

---

<sup>1</sup> Współpracownik doc. dr. inż. Jana Wyżykowskiego, w latach 1966–1979 zatrudniony w Instytucie Geologicznym; [jan.strzelinski@gmail.com](mailto:jan.strzelinski@gmail.com).

kawałku drążka pomiędzy dwoma regałami, ich tzw. plecy były ścianami tego kącika. O ile dobrze pamiętam, był to pokój 311 na trzecim piętrze głównego gmachu, który doczekał się imienia Jana Wyżykowskiego. Największym biurkiem było biurko Szefa, doc. dr. inż. Jana Wyżykowskiego, a pozostałe trzy należały do mgr. Eugeniusza Metlerskiego, mgr. Edwarda Gospodarczyka, no i do mnie. Jako, że byłem najmłodszy, zostałem otoczony taką męską, czasami nieco kanciastą opieką, której, co prawda rzadkie „ostro kolące przypadki” łagodził ten najważniejszy... mój Szef. Potrafił stworzyć taką atmosferę, że nawet najbardziej skomplikowane problemy przestawały istnieć. Jego wyjątkowy talent organizacyjny, umiejętność prowadzenia wielotematycznych dyskusji, popartych zawsze szeroką znajomością omawianego zagadnienia, a także umiejętność nawiązywania kontaktów przyjacielsko-koleżeńskich, dawały szansę na wspólne pokonanie trudności w dążeniu do wyznaczonego celu. Jego skromność i kultura osobista, były swoistym antidotum na zawiść i niezrozumienie, które pojawiały się w jego dalszym otoczeniu. Nawet w najbardziej ekstremalnych sytuacjach nie używał słów, które można uznać za obelżywe. Miał wprawdzie takie swoje powiedzenie, i to mówione pod nosem, gdy był z czegoś niezadowolony, które bardzo rzadko w takich przypadkach słyszeliśmy, ale nie było w tej odzywce nic, co można by uznać za niecenzuralne. Do tego jeszcze cechowała go niezwykła chęć pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Brał udział w szeroko zakrojonej działalności społecznej zarówno w instytucie, jak i organizacjach pozainstytutowych. Pomagał też indywidualnie rozwiązywać problemy, nie tylko zawodowe, ale również natury osobistej. Zawsze stawał po stronie słabszych.

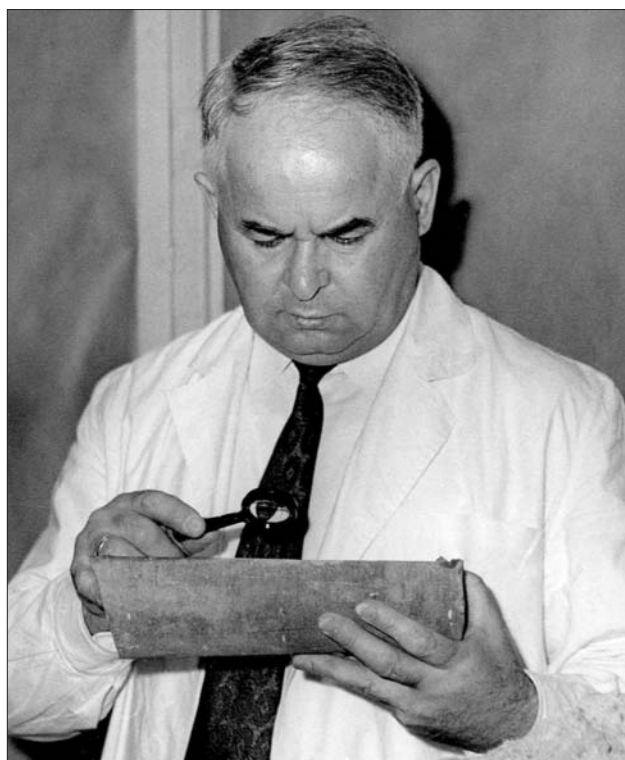
Ale oddajmy głos naocznemu świadkowi tych wydarzeń, dr. Andrzejowi Rydzewskiemu.

„Z Janem Wyżykowskim – wspomina – spotkałem się 1 września 1956 r., rozpoczynając pracę w Zakładzie Żłóż Rud Metali Instytutu Geologicznego. Kiedy dowiedział się, że specjalizuję się w petrografii, stwierdził, że »spadam mu z nieba«, bo największe problemy ma z identyfikacją skał w wierceniach w Gromadce, Gaikach i Ruszowicach. Z przekonaniem mówił o dużych szansach odkrycia mineralizacji miedziowej, ale wówczas sądziłem, że wypada mu tak mówić jako szefowi Pracowni Miedzi”.

Tak z kolei pisał o tym doc. Jan Kostecki: „Odkrywczy sukces Wyżykowskiego polegał na tym, że wszedł na obszar traktowany przez innych jako negatywny i miał odwagę penetrować tereny wybrane przez samego siebie, w wyniku własnych przemyśleń i dedukcji. A czynił to, mając świadomość, że w przypadku negatywnych wyników poniesie pełną odpowiedzialność za niecelowe angażowanie środków”.

Jak powszechnie wiadomo, odkrycie złoża miedzi Lubin–Sieroszowice nastąpiło 23 marca 1957 r., dzięki odwierceniu otworu Sieroszowice S-1.

„Rdzenie z cechsztyńskiej serii miedzionośnej przywiózł Jan Wyżykowski do Instytutu starą warszawą M20 i miał szczęście, bo przeciążona parokrotnie ponad wszelką dopuszczalną normę dojechała cało, chociaż z największym trudem”. Eugeniusz Metlerski tak cofa się myślą do tego wydarzenia: „Wyżykowski cieszył się jak dziecko. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dojedziemy do instytutu. Po drodze zatrzymał nas milicjant. Przeciążona



Ryc. 1. Jan Wyżykowski. Ze zbiorów S. Oszczepalskiego  
Fig. 1. Jan Wyżykowski. Private collection of S. Oszczepalski

warszawa zwracała uwagę i wzbudziła zastrzeżenia stróża porządku drogowego. »Co wieziecie« – zapytał. »Skarb wieziemy« – odpowiedział Wyżykowski. »Jaki skarb? – milicjant był wyraźnie zaniepokojony. Co za skarb, że samochód pod jego ciężarem ledwo się rusza?«. Pan Jan spokojnie mu tłumaczył: »To co wieziemy stokrotnie albo i tysiącrotnie przewyższa wartość rozklekotanego samochodu«. Milicjant jednak miał obiekcje, bo pokręcił głową i z dezaprobatą rzucił: »Nawet straży nie wzięliście...«. A koniec tego zdarzenia był następujący. Kiedy stróż prawa chciał »pogmerać« w skrzynkach, Szef polecił kierowcy szybko odjechać. Dlatego do Warszawy jechali bocznymi drogami, żeby uniknąć kontroli, która mogłaby w sposób nieodwracalny uszkodzić rdzenie. Konsekwencją tej ucieczki były późniejsze kłopoty, które zaczęły się z chwilą przyjazdu do instytutu, bo przy bramie wjazdowej czekali już na Szefa przedstawiciele określonej służby. Fakt faktem, słowo »skarb« wywołało niemało kłopotów, które na szczęście udało się ostatecznie zneutralizować”.

Doktor Rydzewski dalej wspomina: „Jako pierwszy rozpocząłem badania próbek rdzeni z tego historycznego otworu”. I nie łatwe to było zadanie, bo – jak sam powiedział, odtwarzając ten fakt z pamięci, „patrząc na preparaty mikroskopowe, pamiętam stres, jaki mi wówczas »nieopierzonemu« petrografowi towarzyszył, albowiem na mojej opinii o jakości mineralizacji kruszcowej oparto pierwszą, wstępną informację o złożu, przekazaną władzom instytutu, a następnie do Centralnego Urzędu Geologii”.

Odkryciu – jak twierdzi dr Rydzewski – chciano po cichu „ukręcić łeb”. „Po zlokalizowaniu złoża w Sieroszowicach i potwierdzeniu wyniku otworem S-19 w Lubinie, usytuowanym tuż za dworcem autobusowym, sprawa odkrycia złoża została przesądzona, a zespół geologów pod kierunkiem Jana Wyżykowskiego, prowadził prace dokumentacyjne. Wielu geologów, nawet wśród pracowników

naszego Instytutu, nie wierzyło w ciągłość okruszczenia na tak dużym obszarze, ani w praktyczne wykorzystanie złoża zalegającego na niezwykle niekorzystnej – jak wówczas sądzono – głębokości, bo przekraczającej 600 m. A to dlatego, że przed wojną ekonomia prac wydobywczych zezwalała na prace górnicze na obiektach usytuowanych tylko do głębokości 400 m. Stąd »doradzano« ograniczenie dalszych badań”.

Przywołajmy raz jeszcze świadka tamtych wydarzeń, dr. Andrzeja Rydzewskiego: „Doskonale widziałem, ile zdrowia kosztowała Jana Wyżykowskiego konieczność prostowania tych tendencyjnych opinii, szczególnie wówczas, gdy odbywało się to w trakcie narad decydujących o zakresie prac rozpoznawczych i dokumentacyjnych. Bronił zawsze z niezwykłym uporem słuszności swojej koncepcji i potrzeby wykonania zaprojektowanego zakresu prac wiertniczych. Zadanie, którego się podjął, zrealizował nie tylko dzięki istotnym cechom charakteru, przede wszystkim pracowitości i uporowi, ale także poparciu, udzielanemu przez nieliczne wówczas autorytety, takie jak profesorowie Adam Tokarski, Jan Zwierzycki i Roman Krajewski, których zdanie liczyło się we wszystkich gremiach”.

Najtrafniej jednak scharakteryzował Szefa jego najbliższy współpracownik Edward Gospodarczyk, mówiąc w jednym z wywiadów: „Zawsze podziwiałem jego pracowitość, dokładność i wytrwałość w realizowaniu własnych inicjatyw. Jeszcze podczas prowadzenia badań w niecce śródsudeckiej stale przebywał w rejonie badawczym i nie lubił z nim się rozstawać. Przekładając swoje wymagania na język roboczy, bez przerwy powtarzał: »Mnie nie chodzi o wywiercenie dziury w ziemi, lecz o wydobycie dobrego rdzenia«. W to wszystko, co robił, wkładał tyle energii, że aż trudno było odgadnąć skąd on ją czerpie i że aż tyle jej posiada. Uważał, że geolog ma nienormowany dzień pracy”.

Jego żona Kazimiera Wyżykowska w pełni potwierdza tę charakterystykę: „Był niezmiernie wymagający wobec siebie i powtarzał: »Jeżeli ja się z czymkolwiek spóźnię, jeżeli punktualnie nie przyjdę do pracy, jak mam wymagać tego od innych?«. Nigdy nie przyznawał się, że się źle czuje, jest zmęczony lub gnębą go troski. Pewne fakty przeżywał w ukryciu, nie chciał nas martwić”. I dalej: „Kiedy odkrył Wielką Miedź... powtarzał: »Zobaczycie, jakie tam na miedzi wyrosną miasta i jak tam wszystko się zmieni!«.

Osiągnięcia Szefa spowodowały, że był znany nie tylko w Polsce, ale także w Europie i na świecie. To do niego zgłaszali się geolodzy, przedstawiciele „miedziowego” biznesu i dziennikarze z różnych stron świata, prosząc go o konsultację czy wywiad. Nie odmawiał, lecz prosił o uzyskanie pozwolenia od swoich przełożonych, czyli prezesa Centralnego Urzędu Geologii i dyrektora Instytutu Geologicznego, co zazwyczaj wiązało się z odmową wobec osób chcących nawiązać kontakt. W przypadku jednak, kiedy pozwolenie zostało wydane, to żeby nie pokazać, w jakich warunkach pracuje, co wzbudziłoby niewątpliwie niezbyt pochlebne wrażenia u odwiedzających, zwracał się do dyrektora o wypożyczenie na chwilę jakiegoś w miarę dobrze wyglądającego pomieszczenia.

W środowisku medialnym utrzymywał bezpośredni kontakt z dwoma dziennikarzami, i jak się później okazało, pełnili oni rolę dokumentalistów. Byli to Jerzy Szperkowicz z Warszawy i Janusz Roszko z Krakowa. Podobną rolę pełnił doc. Jan Kostecki, redaktor naczelny Przeglądu

Geologicznego, przyjaciel i człowiek o niespożytej sile wiary w prawdę o odkrywcy polskiej miedzi.

Pisząc to krótkie wspomnienie, chciałoby się napisać książkę, bo tak naprawdę byłoby o czym. Dlatego też, będąc jedynym żyjącym pracownikiem Pracowni Miedzi z okresu życia doc. dr. inż. Jana Wyżykowskiego, obok dr. Andrzeja Rydzewskiego, który będąc wówczas pracownikiem Zakładu Złóż Rud Metali Nieżelaznych, wykonywał wszystkie badania petrograficzne na potrzeby Pracowni Miedzi, chciałbym w dużym skrócie napisać jak najwięcej, choćby o historii PIERWSZEGO odkrywcy polskiej miedzi, współbrzmiającej w znacznej części z historią prezentowaną przez Państwowy Instytut Geologiczny i KGHM Polska Miedź S.A.

A miedziowa rodzina? Była monolitem związanym odpowiedzialnością we wspólnym działaniu, pomocą w sprawach ważnych i drobiazgach. Szef zawsze mówił, że geolog ma nienormowany dzień pracy. Więc gdy wyjeżdżaliśmy na wiercenia, to już na cały dzień. Pracowaliśmy do późnych godzin wieczornych, a Szef jeszcze wyruszał na kontrolę wierceń. Powracał o pierwszej w nocy, a już o ósmej rano, kiedy schodziliśmy na śniadanie, oczekiwał nas odświeżony, zawsze elegancki. Zdarzało się, że wracaliśmy zmęczeni do bazy, a on nas jeszcze wyciągał na wycieczki. „Panowie – mówił – chodźmy obejrzeć, jak ten Lubin rośnie”. Pamiętam powroty z wyjazdów w teren, kiedy zmęczony, brudny i głodny docierałem do domu, gdzie okazywało się, że nie ma się gdzie umyć, bo pękła rura, a w lodówce zostały korniszony sprzed dwóch miesięcy. Wystarczył telefon, jechałem do Szefa i w chwilę potem, byłem odświeżony, nakarmiony i w pełni gotowy do racjonalnego wypoczynku. Pomagaliśmy sobie jak umieliśmy najlepiej.

Rzadko zdarzają się ludzie posiadający tak wszechstronną i rozległą wiedzę zarówno z zakresu przedmiotów ścisłych – matematyki, fizyki i chemii, jak i historii, w tym starożytnej, filozofii, filologii, językoznawstwa starożytnego i muzykologii. Dla mnie praca w moim miedziowym zespole była jedną niekończącą się lekcją. Każdy wyjazd w teren, to nowe doświadczenia powiązane z następną lekcją historii. Mijane miejscowości, a zwłaszcza takie, z którymi były związane ciekawe wydarzenia dziejowe, stanowiły okazję do nieustannych opowiadań, z dokładnymi nazwami, datami i szerokim komentarzem. Podróże takie, oceniając to z perspektywy lat, były szczególnej wartości, ponieważ oprócz wzbogacania w elementy zawodowe, dostarczały całkiem nowych wartości poznawczych. Te lekcje nie były niczym innym jak nieuchwytnym, a jednocześnie skutecznym działaniem na rzecz humanizacji zawodów technicznych, o co też chodziło mojemu Szefowi.

Wracając do faktów, o których warto jeszcze wspomnieć, to m.in. udział Szefa w naradzie RWPG i organizacja warszawskich spotkań barbórkowych. Pierwszą historię znam tylko z opowiadań osób, które uczestniczyły w wydarzeniu. Choćby z uwagi na niecodzienność jest warta opisania. A mianowicie, roku nie pamiętam, ale wiem, że od czasu do czasu polscy geolodzy wyjeżdżali z kraju na tzw. posiedzenia RWPG. Któregoś roku Szef został kierownikiem polskiej delegacji. Po ciągu tzw. narad roboczych, podobno zawsze dochodziło do podsumowania, gdzie przewodniczący każdej delegacji zabierał głos w imieniu swojego kraju. Trudno było w przypadku Polski zająć stanowisko, które byłoby dla wszystkich satysfakcyj-



nujące i proszę sobie wyobrazić Mój Szef po dwóch słowach wstępu wstał i zaśpiewał przepięknym tenorem Arię Nadira z „Poławiaczy Perle”, G. Bizeta. Swoim niekonwencjonalnym wystąpieniem wzbudził niesamowity aplauz, a ocena prac polskiej delegacji została dla pozostałych niezapomnianym przykładem, jak rozwiązywać wieloznaczne sytuacje. O tym wydarzeniu napisano na pierwszych stronach ówczesnych gazet. Zresztą Aria Nadira była zawsze elementem podziękowań za pomoc, nocleg, transport, miłe przyjęcie, ekspresowe wybudowanie linii telefonicznej, posiłek, czy mówiąc na skróty, za podjęcie jakichkolwiek działań na rzecz MIEDZI.

Organizacja barbórkowych „Karczm piwnych” w Warszawie (w sali ówczesnego Ministerstwa Górnictwa i Energetyki) pod hasłem: „Choć w Warszawie i nad Wisłą – myśmy górnikiem” była jedną z wielu inicjatyw Jana Wyżykowskiego. Były to zdarzenia bezprecedensowe. Obok „wysokiego, a w sprawach piwnych nigdy nieomylnego prezydium, jego prezesa, lis majora, skoku przez skórę, młodych lisów, dwóch tablic, wyższej i niższej, starej strzechy” i wielu innych symboli gwareckiego święta, brali w nich udział przedstawiciele najwyższych władz państwowych, którym w sposób niewybredny, korzystając z okazji, można było bez konsekwencji zadać najbardziej niekonwencjonalne i drażliwe pytania.

Jak wspominałem wcześniej, Szef był wszędzie tam, gdzie mógł w czymś pomóc. Tak też było w przypadku studentów, którzy trafiali pod opiekę naukową pracowników naszego Zakładu Żłóż Rud Metali Nieżelaznych. Jak dobrze pamiętam pod „skrzydła” doc. dr. inż. Jana Wyżykowskiego trafił Sławomir Oszczepalski, student III roku Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, który złożył na swojej uczelni propozycję napisania pracy magisterskiej z mineralizacji miedziowej u mojego Szefa. Jego propozycja została zaakceptowana, a on sam trafił w ręce tego, którego wymarzył. Fascynacja miedzią „młodego” spowodowała, że Szef od razu rzucił go na głęboką wodę. Najpierw nastąpiło sprawdzenie, co potrafi, potem wspólne profilowania rdzeni wiertniczych. I tak, aktualnie mój przyjaciel, trafił do magazynu rdzeni Instytutu Geologicznego w Żukowie, gdzie dostał zadanie sprofilowania dwóch starych otworów: Kożuchów IG-1 i IG-2. To był bodajże rok 1973. Nie pamiętam jak Szef ocenił jego pracę, ale myślę, że dobrze, skoro prawie zaraz po tym pojechał z członkami Pracowni Miedzi – doc. dr. inż. Janem Wyżykowskim, Edwardem Gospodarczykiem i Eugeniuszem Metlerskim, na profilowanie świeżych otworów wykonanych w niecce północnosudeckiej. Pamiętam jak dziś, kiedy młody brodac z ciężką torbą pełną pobranych próbek wszedł do naszego pokoju. Próbki były opatulone wszystkim, co dawało zabezpieczenie przed uszkodzeniem, bo dla „młodego” były skarbem, na którym budował swoją przyszłość zawodową. Jak się okazało, do zabezpieczenia użył też własnej flanelowej koszuli. Działo się to 1974 r., chyba tuż po wakacjach. Z wiadomych powodów Szef nie mógł doprowadzić pracy magisterskiej do końca, a nowym promotorem został przysły kierownik Sławomira Oszczepalskiego dr Rydzewski, gdy w 1977 r. „młody” został przyjęty do Pracowni Miedzi.

Na koniec chciałbym wspomnieć o tym, o czym mogą pamiętać tylko dwie osoby: ja i mój ówczesny instytutowy kolega Eugeniusz Bobruk. Otóż w poniedziałek 28 października 1974 r., próbując działanie kamery przyniesionej

do pracy, zupełnie przypadkowo nagrałem nią kilka minut rozmowy Szefa z geofizykiem pracującym u nas w zakładzie (jego nazwiska niestety nie pamiętam), a następnie wręczyłem Szefowi do przeczytania i zatwierdzenia scenariusz dotyczący pomysłu na film dokumentujący naszą pracę. Następnego dnia, tj. 29 października 1974 r., czyli we wtorek, ok. godz. 7.00, rozpocząłem kręcenie określonych w scenariuszu sekwencji. Najpierw pierwsze ujęcia: zegar wiszący na korytarzu, puste jeszcze korytarze instytutu, zegar i pierwsi pracownicy, potem znowu zegar, coraz więcej przychodzących pracowników, a o godz. 8.00 „wjazd” z kamerą do pokoju, w którym mieściła się Pracownia Miedzi. Rejestracja wnętrza, kamera w oczekiwaniu na ujęcie otwierających się drzwi, ciągle nic, Szefa wciąż nie ma. Nagle dzwoni telefon i Edward Gospodarczyk, prowadzący rozmowę, staje się coraz bardziej smutny i zdenerwowany. Po chwili dociera do nas ta tragiczna wiadomość: Jan Wyżykowski zmarł nagle. Przerwa w pracy, jedziemy pomóc Pani Kazimierze Wyżykowskiej. Wracamy..., na biurku Szefa kwiaty, wszyscy smutni, co chwila ktoś wchodzi i zamiera w pół zdania, nie zadając pytań... Pogrzeb..., setki ludzi, nie tylko z instytutu. I zapis w Gazecie Krakowskiej, chyba w rubryce pod nazwą „Moje dwa słowa”, tekst Janusza Roszki (nie pamiętam go dosłownie), ale brzmiał mniej więcej następująco: „doc. dr inż. Jan Wyżykowski, pierwszy odkrywca miedzi w Polsce, odszedł...”.

A film, który nagrałem, taki bardzo amatorski zarówno pod względem rejestracji, jak i montażu, został po raz pierwszy i ostatni pokazany w pierwszą rocznicę śmierci Jana Wyżykowskiego na spotkaniu zorganizowanym dla przyjaciół w Klubie Geologa, który mieścił się w suterenie głównego gmachu Instytutu Geologicznego. Z tego co pamiętam został on potem przekazany panu Jerzemu Szperkiewiczowi.

Z kolei w roku 1979 w Teatrze Popularnym przy ul. Szwedzkiej na warszawskiej Pradze została wystawiona teatralna sztuka, o której mało kto dzisiaj pamięta, pod tytułem „Stara sprawa”, autorstwa Jerzego Szperkowicza. Spektakl rozpoczynał się sekwencją z Klubu Geologa, tj. wchodzącym na scenę młodym człowiekiem w białym „kitlu” (tak nazywaliśmy wtedy białe fartuchy, które nosili niektórzy pracownicy instytutu), a następnie włączającym projektor. Dalej już tylko treść, a w zasadzie podteksty czytelne dla ludzi związanych z pracą w Instytucie Geologicznym. Dosłowne cytaty rozmów odbywających się na ważnych naradach kierownictwa i Rady Naukowej w niedopowiedzeniach przedstawiały obraz panującej w tym czasie atmosfery wokół działalności odkrywcy polskiej miedzi, która także mogła mieć wpływ na to, że Szefa przedwcześnie zabrakło wśród nas. Po paru spektaklach, na podstawie postanowienia ówczesnych decydentów, sztuka została zdjęta z afisza, z uwagi na ferment, jaki w ich ocenie, który wywoływała w środowisku geologów.

A jakie są losy pracownianej rodziny z czasów Szefa dzisiaj, w 100-lecie Jego urodzin? W wymiarze osobowym, a także z powodu zmian organizacyjnych w strukturze instytutu, z czasem powoli przestawała istnieć. Na szczęście Pracownia Miedzi, która stała się moją drugą rodziną, kontynuowała i nadal prowadzi poszukiwania rozpoczęte przez Jana Wyżykowskiego, choć już w innej strukturze i bez mojego Szefa.